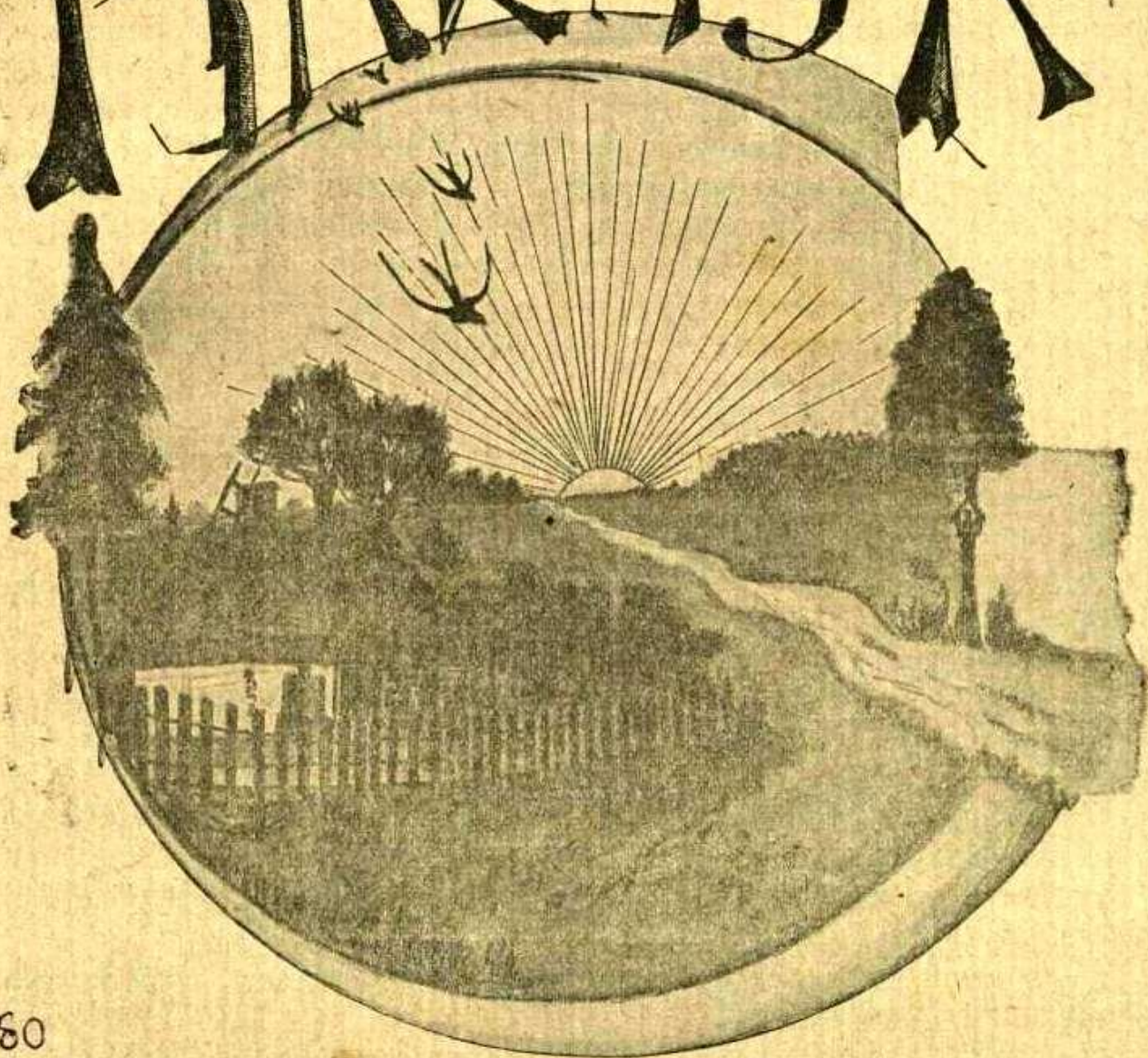


BRZASK



R. 60

Dwumiesięcznik uczennic Semi-
narjum Naucz. i Gimnazjum
w Marjówce

JESTEŚMY SZCZĘŚLIWE.. JESTEŚMY DUMNE..

Była to niedziela, zwyczajna karnawałowa niedziela... Wieczorem urządziło gimnazjum przedstawienie; takie zwyczajne, miłusie przedstawienie... A potem same sobie urządziłyśmy tańcówkę... I zdawało się, że dzień się kończy cicho, spokojnie, jak każdy przeciętny dzień niedzielny... Zmęczone tańcem poszłyśmy na kurs, żeby przeczytać kilka stron książki lub uzupełnić lekcje na dzień następny. Zapanowała cisza... Za oknem rozległ się głos trąbki samochodowej. Żadna się nie ruszyła. Ktoś przyjechał albo odjeżdża... Cóż nas to może obchodzić?

Nagle w całym gmachu powstał dziwny gwar. Czy znów zaczynają tańczyć? — Na kurs wpada zadyszana koleżanka.

— Major Skarżyński!

— Co? — Kto? — Jak?

— Major Skarżyński!

Zerwałyśmy się. — Major Skarżyński tu, u nas, w Marjówce? A na dole hałas rośnie... Wypadłyśmy z klasy... Jakby nam skrzydła do rąk przyrosły! A przez głowę przelatują tysiące myśli szybkich jak błyskawice...

A serca biją... biją i drżą z nadmiaru uczuć...

— On, Ten wielki, Ten Bohater, Ten Zdobywca Atlantyku, Ten Król przestworzy... tu, u nas? Co mu powiedzieć? Jak go przywitać?... Jak wypowiedzieć mu swoje uczucia?

Stoimy zwartą gromadą naokoło Majora, który stoi oparty o drzwi i śmieje się do nas... Taki jasny, dobry uśmiech... Nie wygląda na dumnego zdobywcę, ale raczej na dobrego, serdecznego przyjaciela, miłującego wszystkich i wszystko.

Cichym, miłym głosem mówi do nas, a my słuchamy. A w naszych głowach znów gonitwa myśli:

— Więc to Ten?... Więc my go naprawdę widzimy?... Więc możemy z Nim rozmawiać?... O, korzystajmy z okazji!

Panie Majorze, jak to było tam, w chmurach, wysoko, nad Atlantykiem? —

A Pan Major patrzy na nas ze swym dobrym, ciepłym uśmiechem.

— Ponieważ mamy mało czasu, więc nie będę wam, koleżanki, opowiadał, ale przyślę książkę, w której opisałem wszystko. Jeżeli która z profeserek zachoruje (czego nie życzę paniom), to będziecie, koleżanki, czytały na wolnej godzinie...

Pan Major mówi, a nam serca rosną, że On do nas mówi, że sam, osobiście zapakuje książkę, że przedtem własnoręcznie ją podpisze, że teraz patrzy na nas i śmieje się do nas, że nazywa nas „koleżanki”... że taki jest, taki jest... taki bliski, taki nasz.

— Panie Majorze, a razem z książką list...

— Nie, nie z książką, lepiej z samolotul...

Dobrze, jak będę leciał nad Marjówką, to rzucę wam, koleżanki, list, ale musicie zaraz mi odpisać.

— O, naturalnie!

— Teraz będziemy śledzić każdy samolot, przelatujący nad Marjówką.

— Panie Majorze, niech Pan Major fika koziołki, jak będzie leciał nad Marjówką.

— Tak, tak, koniecznie koziołki, żebyśmy wiedziały, że to Pan Major leci...

Znów serdeczny uśmiech...

— Dobrze, będę fikał koziołki.

— I koniecznie niech Pan Major do nas przyjeżdża.

Bardzo, bardzo prosimyl

— Dobrze, postaram się!

— Panie Majorze, i list... koniecznie z samolotul! Będziemy czekały.

O tak, będziemy czekały, będziemy marzyły, będziemy całymi godzinami gwarzyły o Tobie, polski Bohaterze!

Krótko byłeś z nami, ale te chwile pozostaną nam na całe życie, jako najmilej spędzone w murach szkolnych.

Krótko byłeś z nami, ale pozostawiłeś po sobie takie ciepło, taki blask, który tylko prawdziwie wielkich ludzi otacza. Krótko byłeś z nami, a my tak wiele, tak wiele chciałyśmy Ci powiedzieć.

Chciałyśmy Ci wyrazić swój podziw dla Twego bohaterstwa, swą wdzięczność za chwałę, którąś opromienił nasze Lotnictwo, za gałązkę lauru, którąś przydał do wiazanki polskiej.

Chciałyśmy Ci powiedzieć, jak bardzo, bardzo były młode serca, gdyśmy czytały o Tobie, Polski Lotniku. Chciałyśmy Ci powiedzieć, że i my pragniemy ze wszystkich sił służyć naszej Ojczyźnie, jak Ty Jej służysz, że rozumiemy znaczenie Lotnictwa dla Państwa. Nic Ci z tego nie powiedziałyśmy, a właściwie to wszystko zawarłyśmy w jednym okrzyku „Niech żyje!”, w okrzyku, który rwał się z głębi naszych wezbranych serc. Tyś nas zrozumiał, bo czyż jest to możliwe, aby polskie serca mogły się nie zrozumieć?

Jesteśmy Ci wdzięczne za te rozkoszne chwile. Jesteśmy dumne, że byłeś wśród nas, że słyszałyśmy Twój głos, że widziałyśmy Twój uśmiech.

Jesteśmy szczęśliwe, że możemy Ci przesłać nasze skromne, szkolne piśmko, jako dowód głębokiej czci i wdzięczności, a zarazem jako pamiątkę i prośbę o pamięć.



Instytut Ociemniałych i Głuchoniemych.

Z pośród różnych instytucyj i zakładów, jakie zwiedzałyśmy na wybieczce pedagogicznej w Warszawie, największe może wrażenie odniosłam, zwiedzając Instytut Głuchoniemych i Ociemniałych.

Wrażeniami i wiadomościami zdobytemi tam chcę się podzielić z czytelnikami naszego „Brzasku”. O znaczeniu Instytutu nie trzeba mówić, każdy zdaje sobie na pewno z tego sprawę.

Najpierw chcę w kilku słowach powiedzieć o powstaniu tego Instytutu i jego założycielach.

Instytut dla głuchoniemych został założony przez ks. Falkowskiego w 1817 r., a wykończony w 1823, dla ociemniałych zaś znacznie później, bo 1840 r. przez ks. Szczygieskiego.

Co nasunęło ks. Falkowskiemu tę myśl?

Syn jego przyjaciela był głuchoniemy.

Podczas nauki, jaką ks. Falkowski udzielał chłopcu, okazało się, że wyniki pracy są dobre. To właśnie podsunęło mu myśl założenia szkoły dla tych nieszczęśliwych.

Wyjeżdża więc zagranicę, by tam przyjrzeć się zawodom odpowiednim dla głuchoniemych oraz studjować metody pracy nad nimi.

Po powrocie do kraju za pozwoleniem rządu zakłada Instytut dla głuchoniemych. Dzięki ofiarności społeczeństwa buduje gmach szkolny, który przetrwał do dnia dzisiejszego.

Początkowo głównym celem nauczania było dać ogólne wykształcenie i przygotowanie zawodowe. Z biegiem lat metody i założenia Instytutu zmieniały się. Dopiero w 1895 r. późniejszy dyrektor Instytutu, Papłoński, zreorganizował Instytut oraz wydał ustawę, na której do dnia dzisiejszego opiera się całe nauczanie. Nowa ustawa ma być wydana w najbliższych latach.

Dzięki energicznej pracy dyr. Papłońskiego Instytut stał się jednym z pierwszych w Europie. Uczęszczali do niego nie tylko Polacy, lecz także cudzoziemcy, przyjeżdżający z zagranicy.

Organizacja nauczania u głuchoniemych jest następująca: przedszkole do lat 7, następnie szkoła powszechna 8 letnia, później kursy dokształcające i szkoła rzemiosł.

Szkoła powszechna trwa dłużej, niż normalna, ponieważ dzieci mają większe trudności w nauczaniu się mowy.

Program przerabiany — jest naogół taki, jak w szkole III stopnia.

Niektóre jednak przedmioty, jak gimnastyka, roboty ręczne stoją znacznie wyżej, niż w szkole normalnej, inne znów, jak matematyka i historia są podawane w mniejszym zakresie. Przy nauce pisania i czytania w I oddz. jest stosowana metoda zdaniowa Decroly'ego. Będąc na hospitał. Jak wiemy przy metodzie Decroly'ego w I okresie nauczania punktem wyjścia jest wyraz. Widziałyśmy więc, że na każdym przedmiocie była

nalepiona etykieta. Gdy nauczycielka wymówiła np. okno, dzieci powtarzały, a następnie wskazywały ten przedmiot. Pokazując np. rewolwer, — dzieci wykrzykiwały „puf”. Wszystkie te ćwiczenia i zabawy mają na celu wyrobienie narządów mowy. Wogóle nauka odbywa się tu b. powoli i z wielkim trudem.

Kiedy weszliśmy do VI oddz., dzieci przerabiały „Serce” Amicisa. Jedno zdanie było czytane kilka razy, następnie dzieci rozbierały je, aby lepiej zrozumieć — co w sumie zajęło kilka minut czasu.

Ławki w takiej klasie są ustawione w półkole, tak by dzieci widziały usta nauczyciela z różnych stron, a tem samem przyzwyczajały się do rozumienia mowy ludzi, zwróconych nietylko „en face”, lecz także z boku.

Dzieci w klasie może być najwięcej 10 cioro.

Nauczyciel, chcąc zwrócić uwagę uczniów, uderza w stół lub poprostu tupie nogą, dzięki czemu drgania podłogi tem wywołane zostają odczute przez dzieci. Zaciekawili mnie też lustra, wiszące na ścianie w niektórych klasach. Nie służą one bynajmniej do przeglądania się. Trudniejsze wyrazy, zwłaszcza w początkowej nauce — nauczyciel wymawia przed lustrem, a dziecko, stojące obok niego, stara się w podobny sposób układać swoje usta.

Inny sposób nauki wymowy to wyczuwanie ręką drgań strun głosowych nauczyciela i naśladowanie go. Głuchoniemi posługują się alfabetem palcowym, w którym pewne ułożenie palców oznacza takie czy inne litery. Najchętniej jednak rozmawiają na migi, przytem pewne gesty oznaczają pewne pojęcia lub przedmioty. Po skończeniu szkoły 8-letniej młodzież idzie do szkoły rzemiosł. Działów jest tam kilka między niemi: zecerstwo, drukarstwo, introligatorstwo, stolarstwo, krawiectwo dla chłopców, dla dziewcząt zaś szycie i gospodarstwo domowe. Szkoła ta trwa od 3—4 lat.

Tak przedstawia się nauka dla głuchoniemych.

U ociemniałych jest trochę inaczej. Szkoła powszechna trwa 7 lat z programem analogicznym do szkoły normalnej.

Zupełnie zrozumiałe, że pewnych przedmiotów, jak rysunków niema zupełnie. Do nauki czytania i pisania jest stosowany system Braila. Polega on na kombinacji 6 punktów :::: Odpowiedni układ i ilość punktów oznacza pewną literę, cyfrę lub nutę.

Należy zaznaczyć, że punkty te są wypukłe. Dziecko przy pomocy dotyku odczytuje dane pismo. W późniejszych latach dzieci dochodzą do wprawy i odczytują b. szybko. Po skończeniu szkoły powszechnej można wstąpić do szkoły muzycznej, znajdującej się w tymże gmachu. Szkoła ta jest b. wysoko postawiona.

Należy dodać, że młodzież ta ma specjalnie wysubtelniony słuch.

Byliśmy wzruszone do łez, patrząc na jednego niewidomego, który grał na fortepianie jakiś smutny utwór.

Są i tam jednostki b. zdolne, które pomimo swego upośledzenia uczęszczają do gimnazjum i nie dają się wyprzedzić uczniom normalnym. Istnieje również dla ociemniałych szkoła rzemiosł, w której uczą się robić szczołki, wyplatać koszyki i inne rzeczy.

Życie tak ociemniałych jak głuchoniemych jest b. ciekawe i nie przedstawia się tak tragicznie, jak większość społeczeństwa sobie wyobraża.

Zapewne, niema tam tyle życia i radości, co w szkole normalnej, lecz nie należy sądzić, że jednostki te nie są zdolne do niczego. Przeciwnie,

dając im odpowiednie warunki, możemy żądać od nich pracy i spełnienia obowiązków, jak od każdego obywatela.

Na pewno na ich pracy społeczeństwo się nie zawiedzie. Musimy jednak zrozumieć potrzebę kształcenia głuchoniemych i ociemniałych i nie żałować ofiar na budowę szkół dla nich. Pamiętajmy, że jeszcze 9 tysięcy głuchoniemych i 2 tysiące ociemniałych w Polsce nie ma szkół!

G. B. V k.

HALLO!... HALLO!...

(Mel.: „Pij, bracie, pij”) Karnawał wszechwładnie panuje,
Świat cały dziś bawi się;
Marjówka też nie próżnuje,
Wszystko zabawą tu wre.
Baw, baw, bawże się, baw i t. d...

....brzmia słowa popularnej obecnie na terenie marjowskim piosenki.
Nic dziwnego!

Wszak Paryż szaleje, Wiedeń szaleje, Warszawa szaleje, czyż Marjówka szaleć nie może?

Wszechwładny karnawał dotarł wszędzie. Nawet nasz cichy Smogorzów pogrążony jest w wirze tańca. Wystarczy chociażby wieczorem przejść pod oknami naszej „Sorboni” (kursy wieczorowe), aby przekonać się, jak wielka jest potęga karnawału: z klasy dolatują tony skrzypiec, bębena, głośne przytupywanie i hołubce roztańczonych kursistów.

Hej, karnawał, karnawał!

Ileż to radości, niespodzianek, innowacji! Co krok to nowość. Tu nowa suknia, tu nowy kostjum maskowy! Dziś bawią się tu, jutro tam — coraz to inne otoczenie, coraz to inne twarze! — Tak jest w świecie! — a u nas? — No — też masę rzeczy nowych.

Lecz najbardziej frapującą nowością sezonu — to telefon — № 3 a.. a b.. c... d... (!!!)

Co to za rozkosz, a zarazem wygoda mieć telefon! — Hallol... tu 3 a — proszę o 3 d.. Już? — dziękuję! — Hallo! — tu 3 d — o co chodzi — tylko proszę szybko, gdyż śpieszę się! —

3 a — e, właściwie nie. Chciałam tylko zobaczyć, czy jest połączenie i jak to słyszeć głos w telefonie (brzmi drżący głos uczennicy). U 3 d słyszeć trzask odłożonej słuchawki.

Co chwila ku rozpacz 3 b... c.. d... płynie z 3 a drżący głosik: „Hallol dziękuję, chciałam tylko zobaczyć, jak to w telefonie brzmi głos!”

Jest nadzieja, że roztelefonienie dojdzie u nas do niebywałych rozmiarów. Prawdopodobnie...

Będziemy mogły słuchać wykładów i odpowiadać z lekcji, spokojnie leżąc w łóżku i nie fatygując się do klas.

Zdaje się, że jeszcze tylko kilka dni potrwa roboty, a wówczas w całym gmachu zabrzmi jedno, wielkie głośnie: — Halloooo.. tu 3 e.. f.. g h.. i t. d. (pewnie liter zabraknie dla wielu miejscowych telefoniaków).

Gdyby lekcje telefoniczne doszły do skutku, okazałoby się, jak praktyczne jest w tym wypadku zastosowanie telefonu. Chcę francuskiego — łączę się z p. Ludmiłą, pragnę coś ojczystego — łączę się p. Ireną, coś z dziedziny wychowawczej - z p. Marią i t. d..

Gdyby dyrekcja chciała nam ułatwić życie zapomocą radja, uważam, że byłoby to zupełnie niewskazane.

Uczennice bowiem miałyby trudności w łapaniu fal poszczególnych pań. Nimby złapały odpowiednią panią, usłyszałyby szereg urywków z poszczególnych lekcji — co w sumie wyglądałoby mniej więcej tak:

Hallol — Proszę o spokój! lewa ręka do góry prawa na dół! Ćwiczmy! Raz i dwa i trzy i cztery... Będzie dziesięć zmysłów — powiedział, lecz my się z tem nie zgadzamy, gdyż wiemy że.... zależność między kątami ma się tak, jak.... pies do kota nie przywiązuje się nigdy, gdyż dzielą ich... temperamenty zazwyczaj wrodzone są. Charakter zaś... trzeba wyrobić dobrze glinę, a potem dać dzieciom do lepienia. Zachować przytem porządek, gdyż w przeciwnym razie.... nogi obie podnosimy do góry. Lewą zaczepiamy o drabinkę a prawą. . . . Władysław Jagiello podniósł Akademię Krakowską.

Niechże więc dyrekcja dobrze pomyśli, aby ustrzec się tych i tym podobnych niespodzianek.

ZE ŚWIAT

Byłam na Buczu. Bucze to harcerska Szkoła Instruktorska. Od dnia 28 grudnia (1934) do 13 stycznia odbywał się kurs drużynowych całej naszej chorągwi. Pięćdziesiąt nieznanych sobie druchen żyło razem — i było nam dobrze, swojo...

Jeden był nasz cel i jedno dążenie: zjechałyśmy się zewsząd, aby przygotować siebie, a później swoje drużyny do zlotu.

Zlot w Spale — to wykazanie roli harcerstwa w społeczeństwie, podkreślenie wartości zasad harcerskich dla jednostki, wykaz siły i dorobku przeszło 200—tysięcznej młodzieży harcerskiej. Nie będę pisać o pracy i zdobyczach na kursie, ale opiszę coś, co przyjemnością tylko nazwać można, a co jednocześnie daje hart zarówno ducha, jak i ciała, moc do przewycięzania z pogodą trudności życiowych, do ulepszenia najpierw siebie, a później świata!

Wieczór 6-ego stycznia. Śliczny wieczór zimowy. Śnieg skrzy się w blasku księżyca, a my — raz. dwa... raz.. dwa.. miarowym krokiem idziemy.

Przed nami las, jodłowy, górski las. Stajemy. Tyralljerka co 5 kroków. Na głos puhacza — naprzód!

Cale piękno lasu zobaczyłam dopiero teraz. Gdyby choć chwilę zostać, przypatrzeć się temu np. drzewu... Gałęzie, bogato obsypane śniegiem, skrzą się w przedzierającym się blasku księżyca — mienia się, drżą i sypią potokiem iskier za najlżejszym poruszeniem. Nie, piękna jego nie potrafię opisać.

Ciszę lasu macą tylko miarowe nasze kroki — raz.. dwa.. raz.. dwa. Las kończy się. Stoimy nad brzegiem strumyka. Przed nami wzniesienie i las.

Rzędem pniemy się na górę, aby tam rozbić namioty. Biwakujemy! Jesteśmy. Rozbijanie. Śnieg bardziej lśni się, księżyc jaśniej oświetla nasze schylone postacie, ale my już kończymy biwakowanie.

Cicho suną sanki po puszystym śniegu, a jazda ta napelnia nasze dusze cudownym uczuciem pogody i ukojenia.

Jest godzina 12³⁰.

Jeszcze tylko: „Idzie noc, słońce już

Zeszło z gór, zeszło z pól, zeszło z mórz;

W cichym śnie spocznij już,

Bóg jest tuż.... i za chwilę

cisza otoczyła nas wkoło.

*Janina Sowińska
drużynowa II-giej druż. Skalnej.*



?

— Matura! ach, co za strach!

Matura — będzie w tych dniach...

Brr, aż nam się zimno robi i mimowoli człowiek czuje, jak go serce zaczyna swędzić. Trochę za wczesne dreszcze i za wczesne swędzenie, bo do matury jeszcze najmniej sto dni, ale nie zaszkodzi wcześniej pomyśleć.

No, matura maturą, a karnawał swoją drogą, nie należy też i o nim zapominać.

Co też to się nie działo w tym karnawale!

Imieniny, herbatki, tańczenia... I znów bal, studniówka, przedstawienia i tak bez końca, aż do popielcowej środy.

Warto jednak zbliższy przypatrzeć się temu wszystkiemu.

Weźmy na przykład studniówkę piątego kursu. Dobrze, ale co to właściwie jest ta studniówka?

Trudno to nazwać wieczorkiem, zabawą, czy inną tańczącą herbatką

Studniówka to jest poprostu — studniówka. Trochę jakby zabawa z powodu ubranej sali i stołów, ustawionych w podkowę; trochę niby tań-

cujaca herbatka z powodu tegoż napoju i narzędzia do grania, w tym wypadku naszego patefonu z najmodniejszymi płytami „Leśne nastroje” i „Weź te róże”.

Coś á la takiego — karnawałowo-maturalnego.

Studniówka jako taka jest tradycyjnym zabytkiem naszych przodków.

Zresztą poco się tak szeroko rozwodzić: prawie każdy przechodził lub będzie przechodzić poty przedmaturalne i studniówkę.

Można też obchodzić pięćdziesięciodniówki, trzynastodniówki, a nawet... trzydniówki. Ale odbiegliśmy od tematu.

Wróćmy więc do naszej studniówki, której największą atrakcją było zjawienie się Pani Matury, tworu mocno wysokiego, zrobionego z... parasola, udrapowanego prześcieradłami, na szczycie którego znajdowała się dostojna głowa.

Ichmość Pani Matura, stanąwszy na środku sali, wygłosiła do przyszłych swych ofiar mniej więcej te słowa:

— Właśnie jestem matura,
Niestety, która
Tak was męczy, tak was dręczy,
I rok rocznie,
Choć sama nigdy nie spocznie,
Wysyła maturzystki w świat,
Z których każdy jest bardzo rad.
Wy na maturę narzekacie,
Ale z niecierpliwością jej czekacie,
Żeby wylecieć ze szkoły
I być bez posady — he?
Jak święty turecki goły?
Nieraz was obleci trwoga
I modlicie się do Boga;
A i nieraz się której przyśni,
Lecz to się nie urzeczywistni
Maturę znieśli — żeby?
Uważam, że to jest bez potrzeby.
Czuje, jak mi wątroba zbiera
I złość mię rozpiera!

Tu parasol zaczął się otwierać i Pani Matura spuchła w niemożliwy sposób)

Ale żeby okazać wam słowo laskawsze,
Powiadam, jakem Matura,
Matura trwać będzie zawsze.
Znam ja was, znam,

Nie ze słyszenia, ale z widzenia,
Bo z każdego pokolenia, które narzeka,
Robię wybiórki
I nie dopuszczam do maturki he! he! he!
(Tu rozległ się donośny śmiech Pani Matury)
Oj, wtedy to miło!
„No, dla mnie tym razem matury nie było!”
Każda tak sobie maturę znieść może,
Dopomóż jej, Boże!
Jedno mnie tylko cieszy,
Że blisko maturę odczuwacie
I porządnie do pracy się zabieracie:
Majchrowicz, źródła i Koty bezustanku
Są w ciągłym ruchu,
Od wieczora do poranku.
Pewnie już dużo umiecie,
Kiedy się tak kujecie?
Zaraz wezmę nas na spytki,
Szkopciu, Ezop, do odpytki!
Pod biednemi ofiarami ugięły się nogi, ale śmiało stanęły przed Ma-

tura

Matura: „Szkopciu, najpierw ty o Palestynie,
Co jest najważniejszego w tej krainie?”

Szkopcio drapnął się za ucho i pomyślał:
Będzie ze mną krucho,

Dajcież pomoc mi, rodacy!

Gdzieś z boku popłynął szept: „Ghandi”...

Zaczęła się snuć smutna historia tego wielkiego bojownika.

Matura: „Ezopie, kto jest źródłem, z którego czerpiemy nazwę wiedzy pedagogicznej?”

Ezop: „Ks. Kanonik i p. Marja”.

Z kolei odpowiedział Szkopuś i t. d. i t. d. płynęły zapytania i nie-
dorzeczne odpowiedzi.

Wkońcu po długich męczarniach szczęśliwe wybranki losu z dyploma-
mami w ręku spoczęły na laurach.

Skończyła się parodja matury. Na sali zapanaowała cisza...

Przed myślami każdej stanęła zbliżająca się matura, ale ta prawdziwa,
a wraz z nią wielki znak zapytania.

*Kazika Szkopówna i Gena Dziewulska
kurs V.*

ZDOBYWCY ATLANTYKU.

Hej, wyżej, wyżej!... Hej wgóre, wgóre!... aż tam, gdzie żaden ptak nie doleci!... Aż tam, gdzie ledwie myśl czasem dojdzie!... Myśl dumna, myśl twórcza — twórcy-człowieka.

Hej, wyżej, wyżej!... Na skrzydłach stalowych z zawrotną szybkością pędzić jak strzała, puszczona z luku...

Na karku wichru szybować w przestworzach, wciąż wyżej, wyżej!

Już niknie ziemia!... Jeszcze błysnęła wstęga srebrzysta — to rzeka! Jeszcze mignęły małe punkciki — to ludzie!... Jeszcze zaczernił jakiś pagórek — to niebotyczne szczyty gór.

Hej wyżej, wyżej!... Poda mną ziemia, poda mną chmury, poda mną wichry i burze!... Nade mną cisza miliona gwiazd.

A we mnie? We mnie myśl wielka, we mnie moc wielka, we mnie jest serce, serce potężne, serce ogromne — serce Polaka!

Hej, dalej, dalej! Przez nowe szlaki, przez nowe drogi — na podbój świata!

Hej, dalej, dalej!... Zmierzyć przestrzenie, zdobyć przestworza!... Ujarzmić żywioły!

Ha, śmierć tam czyha?... Śmierć lodowata przeży ramiona!... i kosę ostrzy!... i kruki uczy pieśni żałobnej!... Śmierć grób szykuje dla mnie i dla mojego ptaka ze stali!

Ha, śmierć już przy mnie! Już chwyta skrzydło mojego ptaka, wstrzymuje wartki ruch mego śmigła!... Już dłoń koścista wyciąga ku mnie i szuka serca!...

Ha, głupia śmierć! Z kim ty się mierzysz — z sercem Polaka?

I pierzcha, trwoga straszną przejęta!...

Złękła się żaru polskiego serca!

Hej, dalej, dalej!... Poda mną fale cicho szeleszczą!... Atlantyk śle mi pieśń powitalną!... Atlantyk szumi pieśń mi znajomą!... Atlantyk śpiewa Hymn Narodowy!... hymn polski!

Ola T. kurs IV

WIECZÓR CHOPINOWSKI

Wieczór. Wszędzie panuje krzyk i gwar, tylko w czytelni idealna cisza. Prawie cały czwarty kurs zebrał się, aby słuchać koncertu Chopinowskiego, nadawanego z okazji 125 rocznicy urodzin wielkiego muzyka.

Oczekujemy koncertu z niecierpliwością. Nie ciekawi nas skrzynka pocztowa, chwile czekania przedłużają się nieskończenie. Czasami tracimy nadzieję, czy koncert wogóle będzie. Z rozterki tej wyrwał nas głos speakera: „A teraz łączymy się z Filharmonią Warszawską.” Ze wszyst-

kich ust wypływa szept: „Nareszcie.” Czekamy z zapartym oddechem. Niecierpliwą nas nadawcze sygnały. Lecz i to przechodzi i po chwili przez głośnik padają słowa: „Przed 125 laty w zacisznej wsi Mazowsza, w Żelazowej Woli, przyszedł na świat Fryderyk Chopin. Za chwilę usłyszają państwo kilka jego utworów. W utworach swych Chopin maluje przyrodę polską, odzwierciedla stan swojej duszy, ale przede wszystkim duszę Polaka, męczonę w niewoli. Wczujmy się w jego muzykę, a usłyszemy płacz matek, jęki wygnańców, głosy, błagające Boga o zmiłowanie nad umęczonym narodem. Wrogowie zabronili nam mówić po polsku, pisać, nawet modlić się, lecz tworzyć utworów muzycznych nie zabronili. Nie zdawali sobie sprawy, że muzyka to potęga: ona człowieka uszlachetnia i podnosi na wyżyny. Nie wiedzieli, że w niej mieści się siła, która będzie podtrzymywała ducha w zgnębnym narodzie. To też nie zabronili tworzyć Chopinowi. A on tworzył polonezy, mazury, walce, nokturny i tyle innych utworów. Za chwilę usłyszają państwo poloneza *As dur*”.

Zaledwie przestał mówić, rozległy się dźwięki fortepianu. Zrazu delikatne jak szmer wiatru, wzmagaly się coraz bardziej, stawały się wreszcie potężne. I znów rozplywały się, mieszając się w poszczególne dźwięki, łącząc w pojedyncze akordy, przechodząc w melodję rzewną, tęskną. Powoli przetwarzala się w potężną, bijącą pod niebo. Zrozumialiśmy utwór: oto mistrz prosił Boga o zmiłowanie nad umęczonym narodem.

Umilkły dźwięki fortepianu, a my siedzialiśmy zasluchane. Światło już zgasło i czytelnę ogarnęła zupełna ciemność. Chwilami tylko wychodzący z za chmur księżyc oświeciał bładem swem światłem pokój. Wówczas widać było poważne twarze dziewczynek, zasluchanych w muzykę.

Późno już było, gdy wracaliśmy z koncertu, upojone muzyką Chopina. Zrozumialiśmy, że naród, który wydaje takich geniuszy, nigdy nie zginie.

Marta T. k. IV.



DZIAŁ BYŁYCH WYCHOWANEK.

Spostrzeżenia z mojej praktyki.

Pracując już szósty rok na wsi w szkole wyżej zorganizowanej, zauważyłam szczególnie w ostatnich latach dziwne nastawienie wsi do nauczyciela. Miałam jednak możność zaobserwować, że nie wszędzie stosunki uległy takiej zmianie. Znam koleżanki i kolegów, do których ludność

jest ustosunkowana bardzo przychylnie i odnosi się z wielkiem uznaniem.

Lecz, niestety, są i takie okolice, gdzie nauczyciel jest lekceważony, a nawet znienawidzony przez ludność.

Bolesne to dla nas bardzo, gdyż każda z nas dobrze wie, jak ciężka i trudna jest praca nauczyciela — wychowawcy. Zdajemy sobie sprawę z naszej wielkiej odpowiedzialności wobec Boga i społeczeństwa. Od naszej osobistej wartości i od naszej pracy nad dziećmi zależy przyszłość naszego Państwa. Wszak to my budujemy fundament, na którym będzie w niedalekiej przyszłości spoczywać gmach tegoż Państwa.

Prawda, że dużo wpływa na tę dziwną atmosferę wsi dzisiejszy kryzys, który najbardziej dotknął naszego wieśniaka. Mimo wszystko trzeba nam ułatwić sobie pracę i chociaż trochę otrząsnąć się z ogólnego pesymizmu, jaki ogarnął stan nauczycielski.

Więc jak zareagować, co czynić, żeby przekonać wieś, że nietylko ona cierpi i nie z naszej winy? Jak usunąć rozgoryczenie, jakie niesłusznie czuje do nas? Mówiono nam kiedyś w seminarjum, że najbardziej wpływa na wieś taki nauczyciel wychowawca, który, umie sobie zjednać ludność, zbliżyć się do niej, wczuć się w jej dołę i niedolę, stać się dla niej dobrym doradcą i prawdziwym przyjacielem. Dzisiaj, po paroletniej praktyce wyrażam podziękowanie za tak trafne wskazówki tym, którzy nam je dawali. Dziś na podstawie własnego doświadczenia mogę odpowiedzieć na dalsze pytania: jak się zbliżyć do ludu, jak zdobyć sobie jego zaufanie i szacunek? Najlepszy na to środek — to nasza praca i szanowanie swojej godności. Praca nasza nie powinna zamykać się li tylko w ramach programu, przeznaczonego dla szkoły.

Sięgać ona musi dalej, obejmować całe środowisko, w którym pracujemy. Przez to lepiej je poznamy, znajdziemy odpowiednie środki, ażeby podnieść stan moralny i kulturalny danej wioski.

Trzeba więc pracować społecznie czy to przez zebrania niedzielne, czy kursa doksztalające, czy wreszcie przez propagowane dziś t. zw. świetlice — wszystkie te środki dadzą nam możliwość oddziaływania na nasze otoczenie. Program pracy musimy dostosować do poziomu kulturalnego środowiska. Można prowadzić pogadanki w związku z hodowlą i rolnictwem, zapoznając ludność z najnowszymi udoskonaleniami w tej dziedzinie.

Wieś bardzo się tem interesuje. Dziewczętom obok ogólnego doksztalcenia można dawać gruntowniejszą znajomość gospodarstwa domowego, szycia, haftu, przyczem my nauczycielki mamy sposobność zapoznać się ze sztuką ludową w danej miejscowości. Często trzeba zajrzeć i do chat wieśniaczych, pocieszyć i zaradzić w ciężkich i trudnych kłopotach, porozmawiać o ich gospodarstwie i, o ile możliwe, nawet dopomóc materialnie (myślę nie o wielkich zasiłkach, na co przy dzisiejszej pensji nie możemy

sobie pozwolić). Przekonamy się wkrótce, jak takie postępowanie dobrze podziała na ustosunkowanie się ludu wiejskiego do nauczyciela. Ludność wiejska bardzo dobrze umie ocenić, kto jej jest naprawdę życzliwy i oddany. Już nie tylko, że taką nauczycielkę czy nauczyciela będą szanować, ale nawet uczynią go swym najlepszym, najbardziej zaufanym przyjacielem.

Jakaż wielka stąd dla nas pomoc w pracy wychowawczej nad działalnością szkolną. Bądźmy przekonane, że w takich warunkach nie zaginą dobre ziarna, zasiane przez nas w młodych duszach.

Będą one pielęgnowane przez najbliższe otoczenie, jakim jest dom rodzinny. Ogromna to pomoc współdział domowi ze szkołą. W duszy dziecka nie będzie wtedy miejsca na dysharmonie sprzecznych wpływów wychowawczych. Dla niego słowa nauczyciela będą święte, gdyż są one również cenione i przez dom rodzinny, tam dziecko nie usłyszy utyskiwań na nauczyciela, lecz spotka się z szacunkiem i uznaniem.

Chcąc jednak osiągnąć powyższe rezultaty, musimy naszą pracę społeczną traktować poważnie i prowadzić systematycznie, musimy chcieć umieć się poświęcić dla naszej wsi.

K. Z.

STWARZAJMY ATMOSFERĘ POGODY.

„Ile światła w twojej duszy, tyle słońka świecić będzie; tyle ziarna kłosa dadzą, ile potu na twej grzędzie”.

Tę samą myśl Marji Konopnickiej rozwijałam na lekcji języka polskiego, będąc jeszcze w szkole na kursie czwartym. W tej chwili leży przede mną rozłożony zeszyt z owym wypracowaniem. Sześć lat upłynęło od chwili, kiedy je pisałam, ale jakże obecnie odmienne snuje mi się po głowie rozwinięcie powyższego zdania. Jakie zupełnie inne refleksje od tamtych z przed sześciu lat nasuwają mi na myśl te same przecież słowa Konopnickiej. Tam troszczyli się o mnie rodzice, a moje zmartwienia dotyczyły tylko nauki, jak zabieganie o promocję, a wreszcie troska o otrzymanie dyplomu dojrzałości. Teraz karta odwróciła się, ja już jestem matką, i nie o mnie, ale ja troszczyć się mam o kogo. To też teraz dopiero oceniam, że pięcioletnia praca w szkole i troski uczennicy z nią związane były dziecinnymi niemal kłopotami w porównaniu z temi, które spotykamy na samodzielnej drodze życia. Poznając więc bliżej życie, zastanawiam się i stwierdzam, że ciągła walka o byt, ciągle zabieganie o lepsze jutro, troski nieustanne już nie o przyjemności, ale o codzienny chleb powszedni z bardzo wielu ludzi, mających kiedyś dusze przepelnione światłem i radością, wyrwały tę pogodę ducha. Spowodowały to ciężkie obecne warunki i okoliczności życiowe.

Zapewne niejednen z nas miał możliwość znaleźć się w towarzystwie jakiejś bardzo milej osoby, siejącej dokoła siebie śmiech, radość i zadowo-

lenie. Jednostki takie wśród szarych dni codziennego życia, mając przeogromny zapas pogody ducha, z całą szczodrością udzielają jej otoczeniu. Ludzie tacy stają się wówczas promykami słońca, ślącemi uśmiechy swe tym wszystkimi, na których twarzach uśmiech nie pojawia się wcale albo jest gościem bardzo rzadkim.

Kto założył już swą własną rodzinę, kto nosi już tytuł matki lub ojca, ten z pewnością bez wahania powie, że tem słońkiem w rodzinach są dzieci. Ktoś, kto dzieci nie lubi, kto nie ma z nimi styczności, kto nie przywykł do całodziennego dziecięcego szczebiotu, ten nie potrafi dostatecznie ocenić, ile radości, ile słońca sieje dokoła siebie dziecko, które już mówi, które z całą powagą zaczyna brać ołówek do ręki, które prowadzić zaczy na właściwe swemu wiekowi dysputy. Dziecko takie jest właśnie tem słońkiem, które swemi ciepłemi promykami rozjaśnia i ogrzewa jednostajność życia codziennego. Ono to wywołuje uśmiech na zatroskanem ciężkimi nieraz warunkami pracy obliczu, ono to nie pozwala smucić się matce.

Atmosfera domowa szybko udziela się dziecku. Poważny, surowy, pozbawiony ciepła rodzinnego nastrój domowy działa na dziecko, czyniąc je poważnem, podobnem do dorosłych. Natomiast wesół, pogodny nastrój domowy wywołuje u małych całe kaskady serdecznego śmiechu, daje pole do najrozmaitszych figlów i popisów. Rodzice, patrząc na najróżnorodniejsze wyczyny swych milusińskich, snują plany na przyszłość. Widzą, wówczas, jak każdy robiony przez nich dla dziecka wysiłek, każda kropla potu dla niego wylana, rośi grzędę, rodząc na niej kłosy, obfite w ziarna. Ileż to wysiłku, pracy, trosk, kłopotów, nieprzespanych nocy i zapobiegań kosztuje rodziców wychowanie dziecka! Jedno z cięższych zadań w wychowaniu to mieć stale uśmiech na ustach, mieć zawsze pogodę ducha, aby móc te skarby przekazać dziecku, aby maleństwa pełnemi piersiami czerpały te skarby od otoczenia, a w pierwszym rzędzie od swych życiodawców. Tylko bowiem pogoda ducha, wypływająca z silnej wiary i życia uczciwego, wnosi do ognisk domowych radosny nastrój. Pogoda ducha potrafi zasłonić nędzę życia, a z głębokiego ukrycia dobywać to tylko, co wzniosłe i piękne. Komu jak nie dziecku trzeba zasłonić najczarniejsze strony życia, z którymi jeszcze będzie miało czas się zetknąć. Dążenia rodziców niech więc zmierzają ku nagromadzeniu w duszach swych jak najwięcej pogody, aby móc dać tym najmłodszym. Winni oni starać się przygotować do życia dziecko tak, aby z towarzyszącem mu w duszy światłem, wyniesionem z domu rodzinnego, z wieczną pogodą ducha starało się, idąc przez życie, szukać w niem nietylko samych stron ujemnych, ale i piękna.

Bo jak mówi Alina Kwiecińska: „Skarbem pogoda ducha.

Każdemu, kto jej słucha, uśmiechów niesie kwiat,

Ma zawsze ich bez miary.
— O, weźcie owe dary,
A cudnym będzie świat!”

Jadwiga Sodalska (Cedrówna)

KĄCIK GIMNAZJALNY

DO BOHATERA.

*Wśród szarych dni naszego życia
Zaświecił jasny czas:
Bohater wielki i prawdziwy
Dzisiaj odwiedził nas!*

*Świetny zdobywca Atlantyku
Dziś do nas zawitał,
Jakgdyby naszą miłość do niego
W duszach naszych wyczytał.*

*Bo na Twój widok, Bohaterze,
Prędeż nam serce bije;
I ze stu piersi okrzyk leci:
Major Skarżyński niech żyje!*

Roma kl. I

RADOŚĆ ŻYCIA.

Bywają takie chwile, momenty krótkie jak mgnienie, w których wszystko, wszystkie sprawy, całe życie stają w świetle radości.

Chce się wtedy przycisnąć cały świat do piersi. Chce się zdobywać uśmiechy.

Niczem są wtedy klasówki, odpytki, bury... Niczem jest wtedy świat zmartwień. Niczem. I w takich chwilach pragnie się jednego: czynić dobrze. Ale nie dobrze czynić dla Zochy, Irki czy Niuni. Nie dla nich, choć im się właśnie dobrze czyni, ale dla wszystkich, wszystkim kto żyje, a bez dokładnego określenia komu.

Prostu dla świata, dla samego dobra, dla samej miłości.
I to stanowi radość życia.

Krysia kl. II.

„BAL” PIĄTAKÓW.

Już tydzień przed zabawą dziewczynki biegną rozgorączkowane. Cały „bal” miałyśmy przygotować w sekrecie przed p. wychowawczynią, aby

jej zrobić niespodziankę, lecz p. Loda jest bardzo domyślna i gdy zobaczyła stosy bibulek, zrobione kotyljony, musiałyśmy uchylić rąbka tajemnicy. Już w czwartek poszliśmy z Niuską do jadalni pań prosić na wieczorek. Wobec całego grona nauczycielskiego spiekliśmy raka, ale Niuska wystąpiła odważnie naprzód i w imieniu klasy zaprosiła ks. Kanonika wraz z paniami na „skromną herbatkę”

Już część pracy wykonana. Uf! Odetchnęliśmy z ulgą. No, ale to ubieranie klasy, aż strach pomyśleć, jak zrobić! Lecz Renia („Dziurka”) ma gotowy pomysł: zrobimy pajaka. W sobotę po kolacji zbieramy się z p. Lodą na czele. Teraz do roboty! Renia weszła na dwa stoliki i jeszcze na krzeselko i dyryguje całą klasą. Ponieważ należę do wyższych, więc miałam wejść na drabinę i przybijać bibulkę do sufitu. Koleżanki poradziły mi, żebym włożyła spodnie, będzie mi wygodniej wchodzić.

Stojąc na najwyższym szczeblu, nie mogłam podziwiać arcydzieła, dopiero gdy znalazłam się na dole, ujrzałam przepięknego pajaka, który unosił się nad klasą. Abażury przyćmiewały światło, klasa tonęła w półmroku, cała owiana mgłą tajemnicy.

Nazajutrz „bal”! O godzinie szóstej zaczęli się schodzić goście. Zaczynamy zabawę w „oczko.” Co chwila wybuchamy śmiechem, gdyż kto nie potrafi puścić oczka, znajduje się w trudnym położeniu. Naraz przerwał nam zabawę słodki głosik, zapraszający do stołu. Mało jedząca staruszką (Lilka) i śmieszny żydek z Przysuchy (ja sama) uprzyjemniają czas gościom. Naraz zabrzmiała muzyka i dał się słyszeć głos: „Panowie proszą panie do walczyka.” Każda chwyta kotyljon i sunie do swej tancerki. Wszystkie pary wirują dookoła sali, uśmiechnięte i wesole. Od czasu do czasu jakaś niewidzialna ręka sypie hojnie confetti. Któraś puszcza serpentyny, które jak kolorowe węże oplatają tańczące. Zabawa w całej pełni. Naraz światło mruga, dając znak, że za piętnaście minut gaśnie. Czar zabawy prysł, rozchodzimy się szybko, bojąc się, aby nie zaskoczyła nas zupełna ciemność.

Danka K.

NIEZWYKŁY DZIEŃ.

(Z opowiadania dziennika klasy I-ej)

— Nie, tego już za wiele — srożył się dziennik — co te dzieciśka wyprawiają, czego im się zachciewał! No! no! — A cóż tam się stało? — pytały zaciękawione pióro i ołówek — opowiedz nam, opowiedz prędko!

— Ano, opowiem, opowiem. Wy cały czas przesiadzieliście w szufiadzie, więc nie możecie wiedzieć o niczem, ale ja jestem najważniejszą osobistością w klasie, to też widziałem wszystko doskonale — pysznił się dziennik. — Więc posłuchajcie. Jak wam zapewne wiadomo, wczoraj był „tłusty czwartek”. Nasze dzieciaki, chcąc splatać figla paniom nauczycielkom, robiły jakieś przygotowania. Ale nigdybym się nie spodziewał, że do tego stopnia. No! no! — pokiwał głową. — Pierwszą lekcją był francuski i nie wierzyłem naprawdę swoim oczom, gdy ujrzałem na środku jakiś stół, nakryty jak do obiadu, a w kącie okazałych rozmiarów parawan. Gdy weszła pani, dzieciaki zaczęły swoje popisy. Podano na stół jakieś mięsiwo, surowe kartofle i cała rodzinka, składająca się z ojca, matki i dwojga dzieci, zawzięcie zaczęła parlować po francusku.

Cała godzina zeszła na zabawach, a ja byłem pewny, że to już koniec tego dobrego. Ale gdzież tam — nie było w tym dniu spokoju. Na religji zrobili z klasy Watykan i zachciało im się papieża wybierać.

Nie chciałbym być w skórze księdza Kanonika, głównego kandydata do tej godności, o, za nic w świecie! Gdy zaczęto przy tych wyborach krzyżeć, straciłem doreszty głowę. Dziekan w paradnej sutannie i birecie wygłaszał ceremonjalne mowy i asystował nowowybranemu papieżowi.

Po religji wpakowano mię pod pachę i zatańczono do sali geograficznej na historję. Tu było dopiero na co patrzeć! Cała sala przeobraziła się w senat rzymski. Na środku stał Cezar z Brutusem. Cezar wygłaszał pompatyczną mowę, zaczynając się od słów: „Ojcowie narodu, ludu rzymski!” i tak dalej. Byłem zachwycony i nie wiem dlaczego senatorowie zamiast wyrazić Cezarowi swoje uznanie, rzucili się na biedaka i bez cienia litości zasztyletowali go nożami do rozcinania papieru.

Na biologji krajali zamiast jajka pączki, ale na to nie mogłem bez łez patrzeć, bo nic mi nie dali, a ja przecież pączki bardzo lubię.

Dzięki Bogu, że ten dzień pełen awantur minął nareszcie — dokończył dziennik, układając się wygodnie do zasłużonego odpoczynku.

Wandzia Ciesielska. kl. I.



BAŁTYK

(Wiersz z okazji Święta Morza)

Nasz Bałtyk, polski Bałtyk
W złotem się słońcu mieni,
Kąpiąc swe modre wody
W snopach jaskrawych promieni.

— Polska Wolna, Niepodległa,
Bałtyk do Niej należy!
Przez wszystkie miasta i siola
Wieść ta radosna bieży.

Szumi Bałtyk nasz kochany,
Faluje radośnie!
Opowiada... opowiada
O Ojczyzny wiosnie.

Zosia Malanowiczówna kl. II.



== KRONIKA: ==

OGÓLNA. 15/I-35. Okres świąteczny minął, jak złoty sen. Znów w Marjówce gwaro i wesoło. Trudno się wciągnąć w wir codziennych zajęć, ale ostatecznie trzeba.

29/I-35 r. Karnawał wszechwładnie panuje. Wszystkie kursy i klasy bawią się do upadłego.

1/II-35 r. Staraniem uczennic Seminarjum i Gimnazjum odbyła się ku uczczeniu Imienin P. Prezydenta akademja. Z powodu panującego w okolicy duru akademja odbyła się tylko dla szkół.

2/II-35 r. Kurs IV i V urządził tradycyjną herbatkę.

17/II. Doroczny bal urozmaicony był w tym roku b. pomysłowymi kostjumami. Na uwagę zasłużyły kostjумы kl. II-giej.

24/II. Gimnazjum odegrało Konopnickiej „O krasnoludkach i sierotce Marysi”, przedstawienie udało się nadzwyczajnie. W dniu tym zawitał do Marjówki dzielny lotnik polski, Major Skarżyński, witany owacyjnie przez dziewczynki.

28/II. Tłusty czwartek. Jak co roku, tak i w tym dziewczynki urządziły przeróżne kawały, urywając po parę minut z każdej lekcji.

KURS V. 25/I. Lekcja ks. Kanonika. „Zazdrość jest chorobą serca” — mówi ks. Kanonik. Jaśka wstaje i wielce zdziwiona pyta: „To wszyscy chorzy na serce są zazdrośni?”

10/II. Dziś cała szkoła się bawi z wyjątkiem naszego kursu — wszystkie tańczą. Przyszłe „ciało pedagogiczne” zbiera się na „Wygwizdowie” i szaleje dosłownie w takt piosenki Jasi „Daj serce.” Karnawał przecież — bawić się trzeba.

15/II. Russo zalecał wychowanie naturalne. Idziemy jego śladem i w przyszłości i swoje pociechy w szkole wychowujemy podług wskazówek, zawartych w „Emilu.”

20/II. Wala na sypialni, patrząc w okno, mówi: „Myślałam, że to bocian leciał” „Ach, Wala, czy nie za wcześnie myślisz o bocianach?” odzywa się któraś „Nie, ale na wszelki wypadek chciałam zamknąć okno” odpowiada Wala.

23/II. Imieniny niektórych koleżanek obchodziłyśmy łącznie z naszą „studniówką.” Wesoło było. Odwiedziła nas czcigodna „Pani Matura,” palnęła okolicznościową mówkę, wybadła naszą wiedzę przedmaturalną i odeszła. Mamy nadzieję, że zdamy, bo była łaskawa.

28/II. Tłusty czwartek! Na kursie piątym „królestwo kukiel” otworzyło „muzeum osobliwości” w postaci cennych zabytków po wielkich matematykach i myślicielach. Czego tam nie było: łysina Sokratesa i mądrość Russa, przechowana w butelce po wodzie kolońskiej; nóżka słynnego Ptolomeusza i serce Platona; nie brakło nawet guzika Pitagorasa.

KURS IV. 21/XI. Rada Oli. — Dziewczynki, która chciałaby nie fałszować przy grze na skrzypcach? — Ja, ja, ja — posypały się zgło-

szenia. — Moja rada: nie grać nigdy. Mówię wam, gdy nie gram, nie fałszuję, a jak zacznę grać, to nie mogę wytrzymać. — Kurs jest zachwycony wynalazkiem Oli. Nie wiemy tylko czy i p. Janka będzie również zadowolona.

30/XI. O czym tak myślisz? A bo w tej historii napisali, w którym roku była rewolucja lutowa, a nie napisali w którym miesiącu.

16/I. I cóż to takiego, że Honorcia w czasie świąt zamiast o „Pana Tadeusza” postarała się o p. Adasia? Jest to tylko rzecz gustu.

17/I. Na kursie odkryto wielkie zdolności. Niejaka Hela K. bez uprzedniego przygotowania odegrała warłacje Szumana. Warto zająć się tak wybitną jednostką.

27/I. Wielkie święto na IV kursie: imieniny Pani Wychowawczyni. Trzeba czemś uczcić ten dzień. Pomysłów masa, ale wszystko to za mało na taką uroczystość. Chwila namysłu i projekt jest. A więc — miła herbatka, a później... film dźwiękowy, pierwszy film w Marjówce. Na deser tańcówka. Po mile spędzonym wieczorku pozostało niezatar-te wspomnienie i dziurawe zelówki, możliwe jednak do naprawy.

10/X. Dziś pierwsza klasa uroczyście przyjmuje czwarty kurs w swoich apartamentach. Pary, ozdobione barwnymi kotyljonami, suną w takt obertasa. Orkiestra wykwiłta pod batutą Staśka. Łagodne tony bębienka lechcą delikatnie ucho muzycznych osób. Cudne dźwięki skrzypiec z „wibratem,” i wogóle z uwzględnieniem wszystkich terminów muzycznych, rozmarzają rozmarzone już pary.

KLASA. V. Dziurka. Skąd się wzięło to przezwisko? Od samego początku roku nasza Regina, mająca jeszcze wtedy przydomek „Salve”, snajdowała wszędzie dziury: w pończochach, w fartuchu, w butach, w łóżku i t. d. i t. d. Co chwila rozlegał się jej głos: „dziura”. Powzięliśmy postanowienie: nazwiemy ją Dziurka. I tak zostało. A kiedy na lekcji wypadło powiedzieć to „morowe” słówko, cała klasa wybuchła kaskadą śmiechu. Nasza Dziureczka wcale się nie obraża za swe przezwisko, owszem, uśmiecha się słodziutko, pokazując perłowe ząbki i dwie rozkoszne dziurki w policzkach.

15/II Danusia Ł. zanosí bieliznę na strych. Bierze śniegowce, palto zimowe, wkłada beret, ciepłe rękawiczki i tak uzbrojona przed zaziębieniem z triumfującą miną zarzuca worek z brudną bielizną na plecy i kroczy na strych. Zaziębisz się, weź jeszcze jedno palto! — wołają za wychodzącą liczne głosy koleżanek. Danusia broni się: „Przecież teraz tak panuje grypa, trzeba się strzec”. Po chwili wraca nasza Dana z czerwonym nosem, bo przecież na nosek nie już włożyć nie mogła, lecz z uśmiechniętą buzią i rzecze: „A widzicie, nie zaziębiłam się, strzeżcie się i wy, moje dziewczynkii, nie zaziębiajcie się, bo przecież w zdrowym ciele zdrowy duch!”

KLASA II. 10/II Pewnego wieczoru Krysia leżała sama w sypialni i rozmyślała o bohaterce czytanej powieści.

Naraz światło zgasło, a Krysia ze strachu schowała się pod kołdrę. Po chwili światło zapaliło się samo. Ucieszona Krysia zaczęła czytać, aż tu naraz światło zgasło po raz drugi. No, teraz to już o mało nie umarła ze strachu, bo myślała, że to sprawa duchów. A wiecie, co

to było? To było zwykłe „oczko“, puszczone przez pana Chrzanowskiego.

15/II Zdarzyło się raz na historii, że uwaga nasza była bardzo rozproszona. Myślałyśmy o balu kostjumowym, o mającem niedługo odbyć się przedstawieniu i wogóle o rzeczach, nie dotyczących lekcji.

— Krysiu — mówi pani — o czym ty myślisz? — O niebieskich migdałach — odpowiada spokojnie zamyślona Krysia.

20/II Krysię, wracającą z podwieczorku, pyta Niunia:

— Czy są pieniądze u p. Sekretarki?

A Krysia, zrozumiałwszy, że jest pytana o chleb, odpowiada:

— Jest, tylko śpiesz się, bo zaraz p. Anulka zamknie spiżarnię.

22/II Po pacierzu wieczornym między Marysią a Krysią wynikła o coś sprzeczka. Krysia zła, że nie udało jej się przekonać Marysi, mówi — Dobranoc ci, Marysiu. A Marysia tak odpowiada: — Dobranoc ci, Krysiu, Jaśnie oświecona lampą lojową.

27/II Na polskim jedna z dziewczynek wskutek wielkiego przejęcia dała raz taką odpowiedź: — Leonardo da Vinci ten ta tego, no i ten właśnie tego.

To jasne i wyczerpujące powiedzenie przyjęłyśmy wybuchem śmiechu.

28/II Na matematyce Zosia mówi: — Proszę pani, ja chciałabym wiedzieć, czy pani, my i inni to wszyscy tak wkółko? — Ależ, Zosiu, nie rozumiem, o co ci chodzi? — No, ja właśnie nie wiem, czy to tak zawsze wkółko? — Nie mogę ci odpowiedzieć, bo nie rozumiem, o co ci chodzi, Zosiu — Czy to tak wkółko — powtarza uparcie Zocha. Wreszcie pani i my domyśliłyśmy się, że Zosi chodzi o to, czy zawsze uczono się jednakowych rzeczy z matematyki.

KLASA I 20-I-35 Ulepiłyśmy we cztery wielkiego bałwana. Było z tego powodu dużo śmiesznych pomyłek i radości dla dzieci z ćwiczeńki, które zachęczone naszym przykładem, utoczyły 6 małych bałwanów. Uciecha trwała, dopóki nie przyszły deszcze i nie rozpuściły naszych arcydzieł.

12/II Piszemy pierwsze wypracowanie francuskie na temat: „Jak nakrywam stół“. Nie wiemy, jak do tego się zabrać. Wreszcie któraś napisała i przeczytała z triumfującą miną tę próbkę swoich umiejętności całej klasie. Przetłumaczone na język polski brzmiało mniej więcej tak: „Nakrywam stół białym obrusem, łyżka, nóż widelec i stawiam talerz, karafkę. Zasiadam do stołu i jem obiad, talerz, łyżkę i t. p.“ Szczęściem, że Madame tego nie słyszała, bo dwójka pewna.

26/II Dziś obchodziliśmy imieniny Pani Wychowawczyni. Z bijącym ze wzruszenia sercem podchodziliśmy do stolika, składając życzenia. „Cisza“ tego dnia była bardzo głośna i wesola, do czego przyczynił się patefon i cały szereg monologów i dialogów.

28/II. Wczesny ranek. Alarm w drużynie Skalnej. Wyglądamy wszystkie zachwycająco: jedna ma włosy rozpuszczone, drugiej wymyka się długie pasmo z warkocza, ta ma za duże pantofle, tamta za ciasny pasek. Te braki i niedokładności w naszej garderobie poprawiłyśmy po zakończeniu zbiórki.

**UWAGA:**

Z powodu braku miejsca w „Brzasku” konspekty lekcyjne wkładamy do poszczególnych numerów, jako dodatek dla członkiń Koła Byłych Wychowanek.



PRENUMERATA ROCZNA 3 zł. z PRZESYŁKĄ 3, 50.

Redaktorka odpowiedzialna: **IRENA WITKOWSKA.**

Adres Redakcji: SEMINARIUM NAUCZ. ŻEŃSKIE W MARJÓWCE P. GOŹDZIKÓW

